Nr. 41. Poznań, niedziela 11-go października 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,60 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Nuncyusz papiezki w Rosyi.

Pod tytułem „Un nonce du pape en Russie“ paryzki dziennik „Le Journal“ umieścił temi czasy artykuł Jana de Bounefon, który jako mogący interesować polską publiczność, podajemy w przekładzie:

„Dochodzą nas czasami wiadomości tak dziwne, iż wydają się na pozór nieprawdopodobnemi; do takich zaliczyć by się chciało zamiar Leona XIII osadzenia nuncyusza, to jest stałego posła apostolskiej stolicy w Petersburgu, przy dworze prawosławnego cesarza Wszech Rosyi.

Nowy dyplomata miałby niewątpliwie mnóstwo spraw do załatwienia, lecz aby módz go ustanowić, usunąćby trzeba trzy przeszkody, przyćmiewające jakby trzy chmury jasne niebo papieskiej myśli.

Nuncyusz osiąść może w Petersburgu dopiero po ustanowieniu rosyjskiego ambasadora przy Watykanie, tymczasem nic nie zapowiada podobnego zamiaru ze strony cesarza Mikołaja II. Przytem istnieje zastraszający brak odpowiednich ku temu figur pomiędzy wyższem duchowieństwem otaczającem papieża. Starsi prałaci już się zużyli, zniedołężnieli, zdruzgotani przedwcześnie brutalną ręką kardynała Rampolla, który, pomimo długoletniego pobytu w Rzymie, zachował w sobie sporo sycylijskiej dzikości. Młodzi celowo kryją swe zdolności, pragnąc je zachować na później, by wystąpić na widownię dopiero razem z nowym papieżem. Pełni jaknajlepszego o sobie mniemania, chcą jaśnieć dłużej aniżeli by im dozwoliły ostatnie blaski zachodzącego słońca.

Trzecią przeszkodą jest tradycya. A jakkolwiek od lat dwudziestu Leon XIII przywykł do częstego jej pomijania, wszakże tym razem waha się, bo tradycya — jedna z wielkich potęg Kościoła, — wymaga, by nuncyusze rezydowali wyłącznie w rzymsko-katolickich krajach, a Rosya jest prawosławną.

By względ ten pominąć i zadość uczynić swym pragnieniom, Leon XIII może się wszakże odwołać do przeszłości, wskazując wspomnienia usiłowań kardynała Antonelli, który za panowania Piusa IX o mało co nie osadził nuncyusza przy rosyjskim dworze. Antonelli posiadał niezaprzeczenie potężny umysł, nie zawsze należycie oceniany. W Rzymie wyrósł i stale przebywał, wcześnie zamknąwszy się w Watykanie, i prawie nie opuszczając mieszkania, którego okna wychodziły nie na miasto, lecz na jeden z pałacowych dziedzińców; wszakże znał on wybornie całą Europę i o wiele lepiej jak z podróży, których nigdy nie uprawiał, mawiając z zadowoleniem, że tylko dwa razy przekroczył granice Państwa Kościelnego, podczas wycieczki do Gaety i do Portici.

Antonelli pałał miłością względem Rosyi, jeżeli można nazwać miłością głęboką politykę opartą na wyrachowaniu. Rosya wywdzięczała się mu hojnością pochwał i podarków, zachęcających wszechpotężnego ministra do trwania na stanowisku, jakie w obec niej dobrowolnie zajął, głosząc swe sympatye graniczące z uwielbieniem.

Cesarzowa rosyjska, żona Mikołaja I, pozostawała w stałej korespondencyi z kardynałem. Antonelli kochał się w drogich kamieniach równie namiętnie jak Leon XIII w koronkach. Najpiękniejsze brylanty w zbiorze kardynała pochodziły z bogatych darów składanych mu przez rząd rosyjski.

Dzięki protekcyi tego księcia Kościoła, pan Kisieleff otrzymał rękę donny Torlonia, a pp. Meyendorff i Kapnitz, wysłannicy rosyjskiego dworu, za poparciem Antonellego pomyślnie załatwiali powierzone sobie misye, jakkolwiek nie sprzyjał im Pius IX, pomijający wzgardliwie zawikłaną zwykle grę spraw politycznych, bezwzględnie obojętny na wszystko, co przechodziło zakres działania głowy Kościoła, następcy św. Piotra. Zdarzało się nawet, że Pius IX chętnie psuł plany swego ministra. Pewnego razu p. Meyendorff chciał papieżowi dowieść, że polscy katolicy są buntującymi się wichrzycielami. Posłyszawszy to orzeczenie, papież zerwał się z miejsca i z charakteryzującem go w ważniejszych chwilach uniesieniem zawołał, wzkazując drzwi:

— Precz!

Zajście to zerwało dyplomatyczne stosunki pomiędzy rządem rosyjskim i stolicą apostolską.

Zręczne obroty Antonellego sprawiły, iż zerwanie dało się naprawić, a wznowiony sojusz okupiło dwieście tysięcy unitów chełmskiej dyecezyi zapisaniem na prawosławie.

Chcąc dalej kroczyć tą drogą, Antonelli zapragnął osadzić nuncyusza w Petersburgu. Na tę ważną posadę chciał wysłać kogoś indentyfikującego się z własnemi jego poglądami. Figurą taką był kardynał Berardi, równie przebiegły i rzutki jak Antonelli, prawdziwe jego dopełnienie, a w razie potrzeby zastępca.

Kardynał Berardi był jedynym zmarłym przyjacielem znienawidzonego ogólnie Antonellego, który pomimo swej genialności żył otoczony niechęcią nawet ze strony papieża, niełaskawego na swego sługę.

Berardi nizkiego był pochodzenia i z głęboko zapadłej prowincyi przybył w młodości do Rzymu z chęcią zdobycia karyery. Na początek ożenił się i szczęśliwie wkrótce owdowiał, po czem wstąpił w szeregi sług Kościoła. Nie przeszedłszy święceń dostąpił najwyższych godności. Śmiały jego umysł nie znał skrupułów i z niezmąconym spokojem dążył do raz zamierzonego celu, nigdy się nie wahając, jak czynią szczytną wiarą obdarzeni księża, zapatrzeni w przykład tego, który skonał na krzyżu.

Wysokiego wzrostu, majestatycznej postawy Berardi łączył z tem giętką, neapolitańską przebiegłość i cięty dowcip. Nieuzasadnioną wyniosłością obejścia raził, lecz zarazem działał narzucająco. Lękano się tej osobistości o wypukłem czole, poświęcającej jasność dla energii.

Taki siłacz pokusił się poddać siebie w niewolę i stał się krzepką odaliską polityki, której Antonelli był sułtanem. Giętkość tej duszy, zrodzonej do panowania, była tak zupełna, iż nigdy nie przykrzyła sobie dobrowolnie obranego jarzma.

Po gwałtownem zerwaniu stosunków przez Piusa IX z pełnomocnikiem cesarza rosyjskiego, Berardi z całych sił pracował nad nowem nawiązaniem przeciętej nici pomiędzy Rosyą i apostolską stolicą. Zręcznie a zarazem skrycie kierując sprawami, doprowadził ostatecznie usiłowania swoje do skutku. Osadzenie nuucyusza w Petersburgu zostało zdecydowane.

Naturalnym kandydatem na tę godność nie mógł być kto inny jak Berardi. Zgodzono się na niego, zamknął się więc którego poniedziałku w klasztorze, by się przygotować i otrzymać święcenia, w przeciągu tygodnia został księdzem a nawet arcybiskupem Nicei.

Podczas tych dni kilku, Pius IX namyślał się i pogrążał w modlitwie. Nadszedł uroczysty dzień św. Piotra, a nowy arcybiskup jeszcze nie pozyskał nominacyi na peters-

burgskiego nuncyusza. Tego dnia papież miał wypowiedzieć wielką mowę w trakcie uroczystego nabożeństwa w bazylice. Przed zebranymi kardynałami i rzymską arystokracyą Pius IX wzniósł się na wyżyny kaznodziejskiego krasomówstwa i począł ciskać nawałnicę kościelnych gromów na Rosyę, apoteozując męczeństwo Polski i niedolę ucisku gniotącego zwyciężonych polaków.

Antonelli niespodziewał się tego nagle spadającego piorunu, którego ogień zniweczył i w proch zamienił wzniesione przez niego polityczne rusztowanie. Pius IX nie skończył jeszcze mówić, gdy Antonelli zemdlał.

Papież ucieszony z odniesionego z łatwością tryumfu, zwrócił się do prałatów z najbliższego swego otoczenia i rzekł, jak gdyby ironia igrała z jego luzem puszczoną myślą:

— Ale cóż powie o tem Jakób?...

Jakóbem był kardynał Giacomo Antonelli.

Jakób przemilczał swoje wrażenia, bo przedewszystkiem cenił piastowany urząd, Berardi zaś, prawda że nie został nuncyuszem w Petersburgu, lecz zachował tytuł arcybiskupa i posadę podsekretarza Stanu, aż do dnia, w którym otrzymał kardynalski kapelusz.

Tak więc dzisiejszy projekt Leona XIII jest tylko wznowieniem nie urzeczywistnionego zamiaru kardynała Antonelli. Właściwie takiego a nie innego kierunku należało się spodziewać ze strony obecnie panującego papieża. Tym tylko sposobem pozostaje on wierny kardynałowi Pecci, to jest samemu sobie. Polityki swej nie zmienił i chyli się zawsze w stronę mocnych i potężnych. Tryumfalne przyjęcia, jakie obecnie spotykają podróżującego po Europie cara, oddziałały na papieża, wypowiadającego teraz wyraźnie swe uznanie dla rosyjskiego samowładcy.

Kardynał Lavigerie znał dokładnie charakter Leona XIII, i w paru słowach wybornie streścił jego politykę, siedząc pewnego wieczoru na tarasie swego afrykańskiego pałacu w otoczeniu kilku francuzów, z którymi zwykł był rozmawiać z całą swobodą. Słońce już zaszło, lecz noc jeszcze nie zapadła, chyląc się zwolna, nieśmiało, jak zwykle we wschodnich krainach.

Prymas mówił właśnie o papieżu, posługując się wyrażeniami nieco drastycznemi. Pomiędzy obecnymi był dziennikarz, który z wielką uciechą przysłuchiwał się tym słowom. Wtem kardynał zwrócił się w jego stronę, wołając:

— Uspokój się mój kochany, bo przedewszystkiem Ty nie masz prawa do krytykowania Leona XIII! Jego polityka jest polityką zdolnego dziennikarza. *Elle suit le fil de l'actualité!*

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Memento dla Koła polskiego w Wiedniu. Jak wiadomo zażądało zgromadzenie wyborców krakowskich, by posłowie polscy wnieśli energiczną interpelacyę w parlamencie wiedeńskim w sprawie niesłychanych nadużyć, praktykowanych przez władze galicyjskie dla poskromienia ruchu demokratycznego. Do rezultatu burzliwego zebrania nawięzuje „Nowa reforma“ uwagi następujące:

„Zgromadzenie wyborców krakowskich powinno być przestrogą dla władz rządowych. Niech raz przecie przejrzą, że postępowaniem swojem wspierają żywioły radykalne, a podkopują stanowisko nietylko skrajnych konserwatystów i klerykałów, ale nawet umiarkowanych żywiołów demokratycznych i postępowych. Dziś opozycya śmiała, lecz w granicach przyzwoitości zamknięta, przestaje zadawalniać. Opinia publiczna zaczyna się domagać, aby przestano szanować władze, które nie szanują praw obywatelskich, i żąda, aby krytyka gwałtownością dorównywała również gwałtowności prześladowania, jakiego dopuszczają się władze na swobodach obywatelskich. Żywioły radykalne rosną w popularność, nie dlatego, aby ich przekonania i zasady podzielano, ale dlatego, że ich forma odpowiada wzburzeniu umysłów, wywołanemu przez tych, którzy ze spokojem i bezstronnością powinni stać na straży porządku publicznego.

Powinny również otworzyć się oczy Kołu polskiemu. Jego większość musi raz zrozumieć, że reprezentacya polska w Wiedniu nie może i nie powinna być reprezentacyą stronnictwa i strzedz wyłącznie interesów tego stronnictwa. Niech więc Koło polskie zmieni swoje postępowanie, niech z posłusznego sługi rządu przedzierzgnie się w reprezentanta ludu. Niech solidarności nie nadużywa, aby tłumić każdą interpelacyę o każdą, choćby największą krzywdę, ale przeciwnie, niech tą solidarnością silnie walczy o przywrócenie prawa i sprawiedliwości w kraju. Niech zrozumie, że jeśli potrzebną jest solidarność członków Koła, to jeszcze potrzebniejszą jest solidarność Koła z krajem, nie ta jednak solidarność, która większość Koła łączy ze stronnictwem klerykalno-konserwatywnem, lecz solidarność czuła na krzywdy i potrzeby kraju, na dążenia i najświętsze cele narodu. Jeżeli na taką naprawę stosunków nie zdobędziemy się wreszcie, to zwycięstwo odniosą żywioły skrajne, i to nie te żywioły, o których patryotyzmie jesteśmy przekonani, ale te, których kosmopolityzm zbyt nam jest znany. Solidarność Koła runie, i to nie ta, jaką utworzyła dzisiejsza jego większość, ale ta jakiej pragną wszyscy dobrze myślący — solidarność w sprawach narodowych, i w Radzie państwa nie będzie posłów polskich, ale posłowie galicyjscy, ginący pośród innych stronnictw i niezdolni stać na straży interesów narodowych“.

Tej samej sprawie poświęca „Słowo polskie“ uwagi następujące:

„Przebieg zgromadzenia poniedziałkowego jednej tylko rzeczy niewątpliwie dowodzi: jak fałszywą jest metoda, zapomocą której nasi konserwatyści chcą zwalczać radykalne kierunki. Jeżeli na radykałów i na

---

Artur Schnitzler.

POŻEGNANIE.

NOWELLA.

(Dokończenie).

Niewysłowiona tęsknota i niepewność ogarnęły go; dziś musi rozmówić się sam z lekarzem.

Wyszedł spiesznie z domu. Stróżka stała przed bramą. Podszedł do niej i dziwiąc się sam swej obojętności, zapytał spokojnie:

— Jak się pani miewa?...

Stróżka odrzekła:

— Ach, z nią bardzo źle; nie wstanie już więcej!...

Alfred podziękowł i dodał:

— To smutne jednak.

„Pewnie“ — odpowiedziała tamta — bardzo smutne — taka młoda, piękna pani“.

Z temi słowami zniknęła w bramie.

Patrzał za nią...

— Nic po mnie nie zauważyła — pomyślał i w tejże chwili przeszło mu przez głowę, czyby się nie mógł odważyć wejść do mieszkania, skoro tak dobrze potrafi udawać... W tem nadjechał powóz lekarza. Alfred mu się ukłonił, gdy ten wysiadał z powozu i otrzymał grzeczne podziękowanie. Cieszyło go to — uważał go poniekąd za znajomego i swobodniej mógł go zapytać za powrotem... Czekał spokojnie i było mu dobrze na myśl, że lekarz był u niej. Bawił długo... w każdym razie musi być jakaś możebność ratunku, inaczej nie zostawałby tak długo. A może już była konającą... może... precz, precz, precz!

Chciałby był odegnać wszystkie myśli, na co się to zdało... Wszystko jest przecie możliwe.

W tem zdawało mu się, że słyszy głos lekarza; rozpoznawał wyrazy: jest to kryzys.

Mimowoli zwrócił wzrok na zamknięte okno. Rozważał, czy w pewnych okolicznościach, przy bardzo pobudzonych i przez to zaostrzonych zmysłach, nie można słyszeć i rozumieć słów, nawet przez zamknięte okna. Ależ naturalnie, on przecie słyszał, to nie było urojeniem, słyszał to wyraźnie.

W tej samej chwili lekarz ukazał się w bramie. Alfred przystąpił do niego. Lekarz wziął go za któregoś z krewnych, odpowiadając na jego nieme zapytanie, pokiwał głową, lecz Alfred nie chciał rozumieć.

— Czy mogę zapytać, panie profesorze — zaczął...

Lekarz wsiadał już do powozu i znowu potrząsnął głową.

— Bardzo źle — rzekł i spojrzał na niego, — pan jesteś bratem, wszak tak?

— Oczywiście — odrzekł Alfred...

Spojrzał na niego ze współczuciem i ukłoniwszy się, odjechał.

Alfred patrzał za powozem, jakby z nim znikała ostatnia nadzieja. Potem odszedł. Mówił coś po cichu ze sobą, bezmyślnie prawie i zęby mu dzwoniły.

— Cóż więc dziś poczniemy?... za miasto jechać zapóżno, za miasto zapóźno? Zapóźno, zapóźno... Tak jestem smutny? Czy ja smutny jestem?.. Czy jestem śmiertelnie strapiony? — Nie, nie jestem wcale! Nie — pójdę przejść się, wszak nic nie czuję, nic wcale... Mógłbym teraz pójść do teatru, lub pojechać za miasto... O, nie, tak mi się zdaje tylko... wszystko to jest szaleństwem, bo jestem zbyt wzruszony. Ważna to chwila, muszę zebrać całą przytomność umysłu, nie wzruszać się zbytnio.

Dreszcz go przebiegł.

— Do domu. Kiedyś już musiałem coś podobnego przechodzić... Lecz kiedy, kiedy? Może we śnie... A może to sen?...

Tak, pójdę teraz do domu, jak zwykle, jakby nic nie było, jakby się nie stało nic wcale. Lecz cóż znowu! przecież nie zostanę w domu, wśród nocy pobiegnę znów przed dom ukochanej, przed dom mej ukochanej, która kona...

Dzwonił zębami.

Znalazł się w swoim pokoju, nie mógł jednak z tego zdać sobie jasno sprawy. Zapalił świecę i usiadł na kanapie.

— Wiem, co to jest — mówił do siebie. — Ból puka do drzwi, a ja go nie wpuszczę. Wiem, że stoi tam, widzę go przez szybę. Ach, głupio, głupio!... A więc ukochana moja umrze?... tak, umrze, umrze! A może jeszcze mam jaką nadzieję i dla

ruch ludowy nie macie innego środka, tylko policyę, jeżeli bronią ku ich zwalczeniu mają być takie, z praw poselskich i wogóle obywatelskich szydzące reskrypty, jak ów pamiętny zakaz wydany posłowi Wójcikowi odbywania zgromadzeń wyborczych, to się przez to ruch radykalny podsyca tylko, zamiast go uśmierzyć. Ślepem jest, kto ze sprawozdań o krakowskim sejmiku relacyjnym tej prawdy nie wyczyta, a tylko zaciera ręce z radości, że galerya wyprawiała hałasy podczas przemówień demokratycznych posłów.

A dalej: Jeżeli Koło polskie w Wiedniu temu samemu ulegnie błędowi i zaślepieniu, jeżeli okaże się znowu obojętnem na naruszenie praw obywatelskich i na wniesienie interpelacyi nie zezwoli, — to znowu podsyci tylko ruch radykalny, znowu przyczyni się do osłabienia stanowiska tych wszystkich w kraju, którzy w dobrze zrozumianym interesie narodowym stoją przy zasadzie solidarności Koła. Szeroki ogół nie rozumuje teoretycznie — on bierze rzeczy ze strony praktycznej, on więc w tym wypadku powie: na co mi solidarność, jeżeli ona ma być przeszkodą dla obrony swoich praw. Dowodem tego jest fakt, że ci sami wyborcy krakowscy, którzy posłów Weigla i Sokołowskiego wybrali na zasadzie solidarności, obecnie żądają od nich złamania tej zasady, jeżeli Koło nie dopuści do interpelacyi".

* * *

Nowe nadużycie

W „Katoliku" bytomskim czytamy: „Towarzystwo gimnastyczne „Sokół" w Bytomiu urządziło w niedzielę na sali p. Banscha wieczornicę dla swych członków, ich rodzin i zaproszonych gości, którzy przybyli z różnych miejscowości. Obecnych było także kilkunastu członków gniazda katowickiego. „Sokół" bytomski postarał się o pozwolenie na ćwiczenia i tańce. Na to amtowy Rozbarski dozwolił. Władza wysłała komisarza pogranicznego p. Madlera z 3 żandarmami i 1 sługą amtowym, aby dozorowali zabawę. Na sali kazano sokołom poodpinać sokoliki i wstążeczki z napisem gniazda. Cała zabawa odbyła się w największym spokoju. Pod dozorem policyi bawiliśmy się jak najlepiej. Publiczność obdarzyła ćwiczących sokołów hucznemi oklaskami. Tańczono aż do rana. Nakoniec zawezwał żandarm Korditzke kapelmistrza, aby zagrał „Heil dir im Siegerkranz". Kapelmistrz zastosował się do wezwania żandarma.

Podczas tej muzyki zachowali się wszyscy obecni na sali wzorowo i spokojnie. Chodziło o zasadzkę na polaków — jak musimy sądzić podług opisów tego zdarzenia przez niemieckie gazety. Lecz sprawka się nie udała. Gazety niemieckie piszą, że „zum grossen Gaudium der Beamten" (ku wielkiej wesołości urzędników) śpiewano ową melodyę. A więc podług owego twierdzenia śmiali się urzędnicy z tego, że polacy śpiewali ową melodyę. Jeżeli by tak rzeczywiście było, to może władza sobie jeszcze pomówi z urzędnikami. Zresztą tymczasem tylko stwierdzamy, że żandarm wmięszał się w prywatne stosunki towarzystwa, to jest kierował muzyką, do czego nie miał prawa. Po gazetach niemieckich z powodu tego wiele nieprawdy i wiele pisania. Nie warto na to odpowiadać. Widać, że gniewa ich to, iż Polacy nie urządzili burdy. Tego się chyba nie doczekają".

— ski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Fakty z życia ekonomicznego.

II.

Przyczyny i przypuszczalne skutki rozwoju ekonomicznego.

W poprzednim artykule wskazaliśmy na jeden z symptomatów rozwoju ekonomicznego, — spekulacyę giełdową. Wskazaliśmy na to, że ta spekulacya, jakkolwiek wygórowana, opiera się na realnym gruncie, to jest na ożywieniu w przemyśle.

Jakież więc są przyczyny tego ożywienia w produkcyi i jakie będą skutki? — Wiadomo, że od lat 15 stoimy w kryzysie agrarnym, wywołanym bezpośrednio rozwojem kapitalistycznej gospodarki w rolnictwie amerykańskiem, rosyjskiem, indyjskiem, dalej niebywałym dotąd rozwojem w środkach lokomocyi i spowodowanym poprzednio (w siódmem dziesięcioleciu) przez wysokie ceny zboża niepomiernym wzrostem renty w krajach środkowej Europy. W skutek tej wysokiej renty wzrosła cena ziemi, a wraz z nią wzrosło też obdłużenie szczególniej własności wielkiej, i dla tego rolnik europejski nie mógł wytrzymać konkurencyi, którą sprawił mu rolnik wspomnianych krajów, pomimo że wydajność jego gospodarstwa była i jest większą. Ale i ci konkurenci nie spoczywają w puchu. W Rosyi po krótkim czasie kryzys dał się odczuć rolnikom równie silnie jak w Europie zachodniej, a w Ameryce, pomimo wzrostu ludności, obszary uprawne zmniejszają się w ostatnich kilku latach. Tym sposobem kryzys stał się powszechnym, wszechświatowym. Stało się tak, ponieważ pomiędzy gospodarką rolniczą a przemysłową istnieje najściślejszy związek. Jak w danym wypadku związek ten się przejawił, to wyjaśnił najlepiej jeden z ekonomistów niemieckich pisujący, pod pseudonimem Parvus. Powiada on:*) „Rynek wszechświatowy na zboże powstaje w ten sposób, że przemysł kapitalistycznego kraju (autor ma na myśli przedewszystkiem Anglię) szuka rynku zewnętrznego dla swoich produktów. Im skuteczniej to czyni, tem więcej sam się rozwija. W miarę tego wzrasta ludność zajęta w przemyśle i w ogóle ludność miejska. Wskutek tego znów wzrasta zapotrzebowanie na zboże. Zatem podnoszą się ceny zboża. Im więcej to ma miejsce, tem korzystniejszym staje się import zboża z tych właśnie krajów, do których skiero-

*) Parvus: „Der Weltmarkt u die Agrarkrisis", w czasopiśmie „Neue Zeit" za rok 1895.

---

tego jestem tak spokojny? Nie, jestem tego pewny. Hm.. lekarz wziął mnie za brata! Gdybym mu odpowiedział: Nie — jestem jej kochankiem... Boże wszechmocny! — krzyknął nagle; zerwał się i zaczął biedz po pokoju... — Otworzyłem mu! Ból jest tu!... Anno, moja słodka, jedyna, ukochana Anno!... I ja nie mogę być przy tobie! Ja, jedyny, który do ciebie należy... Może ona nie jest nieprzytomną. Co można o tem wiedzieć! i ona tęskni za mną a ja do niej nie mogę — nie śmiem. Albo może w ostatniej chwili, nie krępowana już ziemskiemi względami, powie: „Przywołajcie mi go tu... chcę go jeszcze raz zobaczyć. ." Co pocznie wówczas?...

Na chwilę cały ten obraz stanął mu przed oczyma. Jak śpieszy po schodach, jak mąż go przyjmuje i prowadzi sam do łoża konającej, a ona uśmiecha się do niego gasnącym wzrokiem; nachyla się nad nią, ona go obejmuje, a gdy się podnosi, ona leży już nieruchoma...

Teraz zbliża się mąż i mówi: „Odejdź pan, wkrótce pomówimy ze sobą obszerniej!..." Lecz rzeczywistość taką nie jest, nie... to jeszcze byłoby lepsze, najlepsze ze wszystkiego; zobaczyć ją raz jeszcze — czuć, że był kochanym naprawdę! Musi ją zobaczyć jeszcze raz, w jakibądź sposób... ależ, na miłość Boską, nie może pozwolić, aby umarła, nie zobaczywszy się z nim. To byłoby okropne! nie mógł sobie nawet tego wyobrazić. Tak, lecz co robić?

— Północ jest blizko! Pod jakim pozorem mógłbym teraz wejść? — zapytał siebie. — Czyż teraz potrzeba pozorów... teraz, gdy śmierć... Lecz... po śmierci nawet muszę zachować jej tajemnicę, uszanować jej pamięć przed mężem i rodziną... Ale... mogę udać waryata. Przecież umiem teraz dobrze udawać... Boże cóż to znowu za pomysł!...

A jeżeli wezmą go naprawdę za waryata i zamkną w szpitalu obłąkanych... Albo jeżeli ona wyzdrowieje i uzna go za waryata, którego nie znała nigdy!...

— Oh, moja głowa, moja głowa!...

Rzucił się na łóżko.

Nocna cisza wokoło uspokoiła go trochę; z większym spokojem zaczął układać w głowie plany zobaczenia się z nią... to już było postanowionem.

Tysiące pomysłów przesuwało się przed nim raz widział siebie wstępującego po schodach w postaci asystenta, profesora, to znów jako uczeń aptekarski, lub agent zakładu pogrzebowego, potem jako żebrak, wreszcie widział siebie, jako posługacza pośmiertnego, jak siedział przy zwłokach, owijał je w całun i kładł do trumny...

Obudził się o świcie. Okno było otwarte i pomimo, że spał w obraniu, zimno go przejmowało, ponieważ padał drobny deszczyk i kilka kropel wpadło aż do pokoju...

— Więc już jesień... — pomyślał Alfred.

Podniósł się i spojrzał na zegar.

— Pięć godzin przespałem jednak... W tym czasie. . mogło się wiele stać. Dziwna rzecz, wiem dokładnie, co mam robić. Pójdę teraz sam do jej mieszkania, podniosę kołnierz i sam... zapytam...

Nalał kieliszek koniaku i wypił duszkiem. Podszedł do okna.

— Pfui! jak brzydko wyglądają ulice. Wcześnie jest bardzo... Ci ludzie już o siódmej idą do pracy... Tak — i ja dzisiaj już o siódmej mam pracę!... „Bardzo źle! — powiedział wczoraj lekarz — lecz z tego powodu nikt jeszcze nie umarł"... A ja wczoraj miałem ciągle uczucie, jak gdyby ona już... Idźmy, idźmy!...

Włożył surdut, wziął parasol i wyszedł do przedpokoju. Służący spojrzał na niego zadziwiony.

— Wrócę wkrótce! — powiedział i poszedł.

Szedł powoli, małemi krokami; naprawdę było mu bardzo przykro iść tam samemu. Co właściwie tam powie?

Zbliżał się już do mieszkania. Dom wydał mu się całkiem nieznajomym; o tej godzinie wprawdzie nie widział go nigdy... Dziwnie wyglądało miasto w szarem oświetleniu dżdżystego poranku... Tak, w takie dni się umiera... Gdyby Anna przy ostatniem widzeniu się pożegnała go poprostu, być może — dotychczas byłby zapomniał o niej... Ależ z pewnością... wydało mu się, że to już było tak dawno.

wany jest eksport przemysłowy. Wtedy tembardziej dopiero wzrasta eksport przemysłowy. Dopóki bowiem pozostawał jednostronnym, bez odpowiedniego importu, znajdywał ciasne szranki w małej sile kupieckiej kraju nierozwiniętego przemysłowo. Teraz zaś rozpoczyna się prawidłowy handel zamienny. Przemysłowy kraj wywozi towary rękodzielnicze i kupuje produkty rolnictwa w kraju rolniczym, powiększając siłę kupiecką ostatniego o sumę, jaką płaci za te produkty. Osiąga się tem dwie rzeczy: otwiera się swój rynek zbożowy dla kraju obcego i stwarza się w tym kraju rynek dla swoich wyrobów. Kraj przemysłowy przyczynia się nawet tak hojnie do gospodarczego rozwoju kraju rolniczego, że kupuje od niego zboża za sumę większą, aniżeli czerpie z niego za towary wywiezione. Pomimo to przemysł kraju kapitalistycznego ma tymczasem swoją korzyść: ma tanie stosunkowo zboże, a zarazem rynek zbytu".

Jednakże wkrótce stosunki się zmieniają: kraj rolniczy, w którym dzięki rozwojowi rolnictwa wytworzył się rynek wewnętrzny, zaczyna rozwijać u siebie przemysł, ponieważ kapitału dostarczył kraj zakupujący zboże. Przytem przemysł ten nie potrzebuje zaczynać ab ovo, kapitalistyczny bowiem kraj dostarcza mu maszyn udoskonalonych długoletnim rozwojem techniki, dostarcza inżynierów i robotników wykwalifikowanych. Tak zdaniem autora Anglia spowodowała naprzód rozwój rolnictwa we Francyi i w Niemczech, za tym rozwojem poszedł wzrost przemysłu w tych krajach. Stały się one konkurentami Anglii. Potem środkowa Europa wraz z Anglią zaczęła grać tę samą rolę względem Ameryki i Rosyi. Kraje te weszły z kolei na drogą rozwoju przemysłowego, a przez to samo tracą powoli zdolność do konkurencyi na rynku zbożowym, gdyż wskutek właśnie tego rozwoju koszta produkcyi i renta wzrastają. Pojawiają się więc nowi konkurenci na rynku przemysłowym i nowe kraje zostają porwane przez wir rynku wszechświatowego. — Indye i Ameryka południowa zaczynają eksportować zboże, ale zarazem rozpocznie się tam rozwój przemysłowy. Za nimi pójdą Chiny i Syberya.

Kryzys więc rolniczy i przemysłowy zostają w ścisłym związku. Tymczasem jednakże rozpoczął się nowy okres ożywienia wskutek właśnie komplikacyi rynku wszechświatowego. Przedewszystkiem bowiem produkcya, którą zrewolucyonizowały nowe stosunki na tym rynku, doszła po piętnastu latach do równowagi. Ceny spadały szybko, ale do cen tych umiano się zastosować. Dziś wiele gałęzi przemysłu jest faktycznie w stanie produkować po cenach, jakie jeszcze lat dwadzieścia temu wydawałyby się absurdycznemi. Bicz konkurencyi zmusił do naprężenia wszystkich zdolności technicznych i kupieckich, drobni producenci zostali zgnieceni i bieg mógł się rozpocząć na nowo. Do tego, że mógł się rozpocząć, przyczyniły się rozmaite przyczyny. Wyjaśnia je znów dosadnie tenże autor Parvus. Powiada on:*) „Cztery zjawiska stanowią o przewrocie obecnym na rynku wszechświatowym: rosyjski głód, japońsko-chińska wojna, amrykański kryzys i szybkie wzrastanie produkcyi złota."

Głód rosyjski, zdaniem autora, zadał ostatni cios staroruskiemu ustrojowi gminnemu. Chłop, którego egzystencya była podkopaną oddawna, został proletaryuszem, został zapędzony do miast, napełnił fabryki tanim robotnikiem. Przemysł ten istniał już, ale teraz zaczyna rozwijać się z bajeczną szybkością. Rynkiem odbytu dla niego iest przedewszystkiem sama Rosya, ale teraz zaczyna się zalewanie Azyi towarem rosyjskim. Kolej transkaspijska rozwarła drogę do Azyi środkowej. Stworzyła ona tam rynek, a nawet spowodowała, że Anglia spotyka się z nowym konkurentem w Persyi etc. Kraje te dostarczają materyałów surowych, jak bawełna, i jedwab a w razie potrzeby staną się dostawcami zboża. Kolej syberyjska znów uprzystępni kolosalne bogactwa Syberyi południowej. Kopalnie, lasy, pola tamtejsze dostarczą olbrzymich bogactw z chwilą, kiedy przestrzeń zostanie zwyciężona nową linią komunikacyjną. Zarazem też nowa kolej stworzy dwa rynki nowe: samą Syberyę i Chiny. Tymczasem jednakże przemysł rosyjski nie jest w stanie zadość uczynić sam potrzebom jakie się rodzą, i przemysł Europy zachodniej korzysta z konjunktury, dostarczając maszyn, przędzy, wyrobów żelaznych, chemikalii itp.

Wojna chińsko-japońska spowodowała po pierwsze wystąpienie na widownię azyatyckiego państwa t. j. Japonii i otwarcie Chin dla Europy. Japonia już weszła na drogę kapitalistycznego rozwoju i dziś przechodzi pierwszy okres jego. Chiny dotąd opierały się światu. W tym kolosie zdawało się wszystko skrzepniętem na wieki. Przegrana wojna i nacisk Rosyi zmuszą je do wstąpienia na nowe tory, przemysł kapitalistyczny zdobędzie państwo niebieskie. Tymczasem zaczęła się budowa dróg, wkrótce zacznie się intensywne rolnictwo, zacznie się budowa fabryk. Środków technicznych ku temu dostarczy Europa, a nawet już zaczęła dostarczać. Tym sposobem kontynent azyatycki zostaje rozwarty na roścież dla ogólnego wszechswiatowego rynku, podczas gdy dotąd szarpano tylko jego brzegi.

Kryzys amerykański powstał przed kilku laty wskutek rozwoju przemysłu, którego przyczyny wyjaśniliśmy wyżej. Rozwój ten spowodował chęć odgraniczenia się od napływu towarów europejskich przez wysokie cła; tak powstał bill Mac-Kinley'a. Cła te z kolei przyczyniły się do tem szybszego rozwoju produkcyi, powstała więc hyperprodukcya, za nią zatkanie kanałów odbytu, zatem stagnacya i w końcu „krach," który nastąpił w roku 1894. W r. 1895 zaczął się powolny rozkwit, ale warunkiem, aby ten rozkwit trwał dalej, jest zdobycie nowych rynków. To wyjaśnia dlaczego ludność Stanów zjednoczonych nalegała niedawno na swego prezydenta, aby zaczął więcej energiczną politykę zagraniczną. „Ameryka powinna coś znaczyć w świecie", wołano, to znaczy jednakże: „przemysł amerykański łaknie zbytu", i znajdzie takowy.

*) Die Gewerkschaften und die Sozialdemokratie. Dresden 1896. II Auflage. Str. 14.

Jakie dziwne pojęcie o czasie wyrabia taki deszczowy poranek... ach, Boże!

Alfred był zmęczony i rozstrojony... o mało co nie minął jej domu.

Brama była otwartą; wychodził z niej chłopak, niósł dzbanki z mlekiem. Alfred postąpił spokojnie parę kroków; nagle, gdy już był na schodach, wróciła mu cała świadomość tego, co się stało, co się miało stać, o czem się chciał dowiedzieć. Zdawało mu się, że dotychczas był w półśnie i nagle go zbudzono.

Z bijącem sercem wstępował dalej.

Więc to były schody?... przedtem ich nie widział. Zmrok zalegał jeszcze, na ścianach paliły się gazowe płomyki... Mieszkanie było na piętrze.

Cóż to?... Drzwi stały otworem. Mógł dojrzeć przedpokój — nie było w nim nikogo.

Otworzył drzwi do kuchni — i tu nie było nikogo. Przez chwilę się wahał. W tymże czasie drzwi od pokoju się otwarły i wyszła służąca. Alfred poszedł do niej.

— Jak się miewa pani? — zapytał.

Dziewczyna spojrzała na niego bezmyślnie.

— Przed półgodziną umarła — rzekła. Zawróciła się i poszła do kuchni.

Jemu się zdało, że cały świat zamarł w jednej chwili; był przekonany, że teraz wszystkie serca bić przestały, ludzie ruszać się, wozy jechać, zegary chodzić. Czuł, jak wszystko, co żyło i ruszało się, przestaje żyć i poruszać się.

— A więc to jest śmierć! — wczoraj nie rozumiałem tego jeszcze...

— Przepraszam — powiedział ktoś obok niego.

Był to jakiś jegomość czarno ubrany, chciał wejść do sieni i Alfred zasłaniał mu wejście; odsunął się i przeprosił go. Tamten wszedł do mieszkania, zostawiając drzwi uchylone, przez które Alfred mógł dojrzeć w pokoju prawie ciemnym od zapuszczonych firanek, kilka osób, siedzących przy stole.

Wstali na przywitanie nowoprzybyłego i poszli razem do przyległego pokoju. Alfred stał ciągle przy wejściu i myślał:

— Tam ona leży... Niema tygodnia, jak trzymałem ją w swem objęciu... i ja nie śmiem tam wejść.

Usłyszał kroki na schodach. Dwie panie przeszły obok niego. Młodsza z nich miała oczy zapłakane. Była to z pewnością siostra, o której nieboszczka nieraz mu opowiadała. Jakaś starsza pani wyszła na ich spotkanie, objęła obie i zaczęła cicho szlochać.

— Przed półgodziną — mówiła starsza pani — niespodziewanie...

Nie mogła mówić więcej od łez; wszystkie trzy przeszły do pokoju zmarłej.

Nikt nie zwracał na niego uwagi.

— Nie mogę jednak stać tu ciągle — pomyślał. — Wyjdę, a za godzinę powrócę.

Wkrótce znalazł sie na ulicy. Ruch poranny już się rozpoczął; potrącali go przechodnie, mijały powozy.

Za godzinę będzie więcej osób i będę mógł wcisnąć się z nimi razem. Jak to pewność uspokaja jednak!... Już mi dzisiaj lepiej, jak wczoraj, chociaż ona umarła... Przed półgodziną... Za tysiąc lat nie będzie ona dalszą w mem życiu, jak w tej chwili... a jednak świadomość, że ona oddychała przed godziną jeszcze, daje mi wrażenie, jakby ona jeszcze coś wiedziała; coś, czego się nie przeczuwa za życia... może cała wieczność zawiera się tylko w tej nieuchwytnej chwili przy przejściu z życia do śmierci... Tak, teraz już skończone popołudniowe oczekiwania... nigdy więcej nie będę stał podedrzwiami — nigdy, nigdy!

Przed oczyma mignęły mu znów godziny niewysłowionego uroku. Przed kilku dniami jeszcze był tak szczęśliwy!... To było głębokie, błogie szczęście i tak zawodne. Ach, gdyby słyszał zbliżające się jej kroki... gdy w zamroczonym pokoju, przesiąkniętym wonią kwiatów i papierosów, siedzieli obok siebie bez słów, bez ruchu... Skończone dziś wszystko, skończone...

— Wyjadę, to jedno, co mogę zrobić. Czy wogóle będę mógł wejść jeszcze do mego pokoju! Będę zmuszony płakać, i długo, zawsze, zawsze płakać będę...

Przechodząc obok kawiarni przypomniał sobie, że od wczorajszego południa nic nie miał w ustach i zaszedł na śniadanie.

Gdy wychodził, biła dziesiąta.

— Teraz muszę pójść znowu tam, muszę przecież zobaczyć ją jeszcze — co zrobię?... Czy mi się uda?... Muszę ją zoba-

Miejscem zbytu będzie po części znowu Azya, a po części Ameryka południowa. Tak wyjaśnia się krzyk: „Ameryka dla amerykanów“. Dla uprzystępnienia tego rynku trzeba przedewszystkiem przekopać kanał panamski, który otworzy Amerykę środkową i skróci drogę z przemysłowych miast do wybrzeży zachodnich południowego kontynentu. Mylą się zaś ci, którzy sądzą, że sprawa kanału utonęła w błocie skandalicznej afery, która o śmierć przyprawiła genialnego, lecz lekkomyślnego twórcę projektu. Już bowiem utworzyło się nowe konsorcyum bankowe w celu ukończenia budowy. I tym razem po prostu na trupach drobnych kapitałów pocznie rość i tuczyć się wielki kapitał.

Co do produkcyi złota została ona zrewolucyonizowana postępami w technice metalurgicznej, która pozwala dziś dobywać kruszec z pirytów złotych. Przed kilku jeszcze laty górnicy natrafiwszy w kopalniach złota na takie piryty porzucali, kopalnię, dziś pojawienie się tychże jest znakiem, że kopalnia ma widoki powodzenia. Drugą przyczyną było odkrycie złotodajnych żył o niebywałej wydajności w Transwalu. Jednocześnie zaś powiększyła się produkcya w Ameryce i Rosyi. O rozmiarach wzrostu ogólnej produkcyi niech świadczą następujące dane: cyfra wartości produkcyi w roku 1895 wynosi około 820 mil. marek, to jest dwa razy więcej niż wynosiła przeciętna w czasie 1873—1883, a o 50% więcej niż osiągano w peryodzie 1856—60, peryodzie najobfitszej dotąd produkcyi. Myliłby się zaś, ktoby sądził, że ta produkcya zmniejszy się tak prędko, jak wzrosła. Wydajność kopalni i pól złotonośnych niezależy bowiem jedynie od obfitości złota, ale w równej mierze od sposobów produkcyi. Przebieg jest tu zwykle taki: najpierw na wieść o odkryciu złotodajnego piasku rzucają się do poszukiwania awanturnicy bez grosza pieniędzy, z najprymitywniejszemi narzędziami, które składają się z sita, kubła, oskarda, łopaty. Szukają oni grubych ziarn i brył, drobne ziarna przepadają. Potem zaczyna się mechaniczne przemywanie na małą skalę, do którego już trzeba kapitału, należy bowiem sprowadzić wodę, pobudować śluzy i t. p. Lecz i tu jeszcze nie wszystek piasek zostaje przemyty i na tych samych polach, gdzie drobny kapitał nie znajduje już zysku, zaczyna się w końcu wielka produkcya, z maszynami parowemi do pompowania wody, z maszynami do kruszenia kamieni, zawierających złote żyłki i t. d. Otóż dotąd na polach złotonośnych Syberyi, Afryki, Australii wielka produkcya zaledwie się zaczęła, rozwinie się zaś z chwilą uprzystępnienia tych krain przez koleje, z chwilą rozwoju w nich warunków odpowiadających kapitalistycznej produkcyi. Tak samo ma się rzecz z przedsiębiorstwami górniczemi, które eksploatują kopalnie złota. Dotąd były one w rękach drobnego kapitału i dlatego z konieczności prowadzono tu gospodarkę rabunkową, zadawalniając się eksploatowaniem bardzo wydajnych żył i porzucając je z chwilą, kiedy przy prymitywnych urządzeniach nie można było ciągnąć zysków. I tu więc — piosenka się powtarza ciągle — wielki kapitał pozwala drobnemu wygryść sobie zęby, aby potem skorzystać z jego pracy pionierskiej i zagarnąć zyski. Tak właśnie dzieje się chwilowo w Transwalu. Dzisiejsi spekulanci w końcu pobankrutują, ale kapitał ulokowany w kopalniach pozostanie, tylko że zyski będą ciągnąć wielcy przedsiębiorcy, którzy po krachu zakupią te kopalnie.

Efekt zaś dla gospodarstwa międzynarodowego jest tem, że pojawia się obfity zapas gotówki, — gotówki nie sztucznej, jaką chcą stworzyć panowie bimetaliści przez uratowanie srebra ubezwartościowanego, lub zwolennicy papierków. Obfitość tej gotówki musi dać pochop do gorączkowej spekulacyi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LITERATURA I SZTUKA.

Zofia Kowalewska.

przez

Laurę Marholm.

(Studyum psychologiczne.)

(Dokończenie.)

Choroba trwała krótko. Umarła w przeciągu kilku dni. Sama umarła, podobnie, jak głębią duszy żyła sama. Przyjaciółki, które czuwały przy niej w nocy i którym dziękowała tak gorąco, jak dziękuje się tylko obcym, udały się właśnie do domu, gdy rozpoczęła się agonia. Nikogo nie było przy niej, prócz obcej posługaczki. Umarła i spoczęła w kraju, który siły jej złamał.

VII.

Atoli z poza obrazu, jaki tu skreśliłam, wyłania się inny jeszcze wielki, ciemny, niewyraźny. Uchwycić go niepodobna, tak jak niepodobna uchwycić odbijającego się na tafli wód obrazu. Wyciągniesz rękę — rozpłynie się. Lecz po chwili zarysowuje się i staje przed tobą ciemny, wielki, tajemniczy.

Znając dzieje życia pewnego człowieka, wiedząc z jakich wyrosło stosunków, w jakich rozwinęło się warunkach, jakie człowiek ten posiadał skłonności, jakie przeszedł cierpienia i na jaką, umarł chorobę, sądzimy, że znamy go dokładnie. Mamy przed oczami wizerunek mniej lub więcej szczegółowy, sąd o nim mniej lub więcej psychologicznie w świadomości naszej uzasadniony. Życie Zofii Kowalewskiej jest zaś jednem z tych, które z pozoru żadną nie są osnute zasłoną. Była otwarta, chętnie się udzielała, interesowała się sama psychologicznym swoim rozwojem, niczego nie miała potrzeby ukrywać; znało ją mnó-

---

czyć... muszę! moją ukochaną, zmarłą Annę zobaczyć po raz ostatni. Lecz czy mnie wpuszczą do jej pokoju?... Pewnie będzie dużo osób, wszystkie drzwi będą otwarte...

Poszedł.

W bramie spotkał się ze stróżką, pozdrowiła go, gdy przechodził: na schodach minęli go jacyś dwaj panowie. W przedpokoju znajdowali się również ludzie, drzwi były na ścieżaj otwarte — wszedł. Jedna firanka była podniesiona i trochę światła wpadało do pokoju. Kilkanaście osób siedziało, stało, rozmawiało po cichu. Wiekowa dama, którą widział przedtem, siedziała złamana bólem w rogu kanapy. Gdy przechodził, spojrzała na niego; zatrzymał się i wyciągnął rękę do niej.

Skinęła mu głową i zaczęła znów płakać.

Rozejrzał się wokoło; drzwi, które prowadziły do przyległego pokoju były zamknięte. Zwrócił się do jednego z panów, który stał przy oknie, bezmyślnie patrząc przez szparę w firance...

— Gdzie ona leży? — zapytał.

Pan wskazał ręką na prawo. Alfred otworzył ostrożnie drzwi. Olśniło go światło, które uderzyło mu w oczy. Znajdował się w światłym pokoiku o złoconych tapetach i niebieskich meblach.

Nie było tam nikogo.

Drzwi do następnego pokoju były tylko przymknięte. Wszedł. To była jej sypialnia.

Okienice były zamknięte; paliła się lampa. Na łóżku leżała zmarła. Kołdra nasunięta była aż pod brodę; na nocnym stoliku przy głowie paliła się świeca, której światło padało na twarz zmarłej, szarą, jak popiół. Nie byłby jej poznał, gdyby nie wiedział, kto to jest.

Pomału zaczął w niej dopatrywać się podobieństwa, powoli stawała się ta Anna, jego dawną Anną i po raz pierwszy w tym okropnym dniu uczuł łzy pod powieką. Piekący ból przeszył mu piersi, chciałby był krzyczeć, upaść przed nią na kolana, całować jej ręce...

Teraz dopiero zauważył, że nie był sam. Ktoś klęczał u nóg zmarłej, ukrywszy głowę w kołdrze, trzymając rękę zmarłej w swoich rękach.

W chwili, gdy Alfred postąpił krok, aby się zbliżyć, ten drugi podniósł głowę i spojrzał na niego mętnemi od płaczu, zaczerwienionemi oczyma.

Był to jej mąż.

Nagle Alfred pomyślał: co mu powiem?... Poczuł jednak w tejże chwili, że klęczący ścisnął go za rękę i szeptał głosem, od łez przerywanym:

— Dziękuję, dziękuję!...

Potem odwrócił się znów, opuścił głowę na kołdrę i łkał po cichu.

Alfred stał i wpatrywał się z dziwną uwagą w twarz zmarłej. Łzy zniknęły gdzieś i ból jego nagle zamarł. Czuł, że kiedyś to spotkanie wyda mu się dziwacznem, a nawet śmiesznem. Sam wydałby się sobie komicznym, gdyby zaczął teraz z nim szlochać.

Zwrócił się ku wyjściu.

Przy drzwiach zatrzymał się i obejrzał... Płomień świecy zdawał się kreślić lekki śmiech na ustach Anny. Skłonił się, jakby się z nią żegnał, a ona mogła była to widzieć.

Chciał już odejść, zdawał się jednak przykuty tym uśmiechem. Wydawało mu się, że pojmuje ten pogardliwy, nieznany mu uśmiech; znaczył on: „kochałam cię, a ty stoisz tu, jak obcy i zapierasz się mnie!... Powiedz-że mu, że należałam do ciebie, że ty masz prawo klęczeć przed mojem łóżkiem i całować moje ręce. — Powiedz mu to! Dlaczego mu tego nie powiesz?...“

Nie miał odwagi. Zasłonił oczy ręką, aby nie widzieć tego uśmiechu...

Na palcach wyszedł z pokoju i zamknął drzwi za sobą. Poszedł przez oświetlony salon, przecisnął się pomiędzy tymi, co zapełniali pierwszy pokój; śpiesznie przebył sień i schody, a gdy wyszedł za bramę, przyśpieszył kroku i prędko uchodził zawstydzony dalej...

Zdawało mu się, że nie śmie być smutnym, jak inni, że go goni mara ukochanej zmarłej, której się musiał zaprzeć wobec ludzi i całego świata.

KONIEC.

stwo ludzi w całej Europie, żyła na widowni i umarła na zapalenie płuc, które było następstwem influenzy.

W ten sposób pojęła ją też pani Leffler, kreśląc rozumny obraz, w rozumne ujęty granice.

W obrazie tym jest wszystko, prócz — niej samej.

Ellen Key poprawiła i wypełniła ten rysunek, włożyła w pracę swoją subtelność i ciepło serdeczne, uchwyciła wszystko — prócz Zofii Kowalewskiej.

To zaś, co ja w szkicu tym przedstawiam — w tem przeświadczeniu, że wrażeniami, których sama w młodości doznałam w Rosyi, i temperamentem bliższą jej jestem od dwóch moich poprzedniczek — jest wprawdzie analizą jej życia, lecz nie jest nią samą.

Rzekłbyś, że stoi przed tobą bajecznie wielkie jak cień, rzucony przez wschodzący księżyc, widmo, które zdaje się rosnąć w miarę, jak mu się przyglądasz. I pytam sama siebie: kto ona jest?

Nie wiem. A i ona sama nie wiedziała. Żyła — to prawda. Ale własnem, prawdziwem, indywidualnem życiem nie żyła nigdy.

Więc stoi oto, niby postać, która wyszła z mroku i w mrok poszła. W najdrobniejszych rysach, w rozproszeniu, rozczątkowaniu gorączkowego a bezcelowego życia jest dziecięciem czasu i typem kobiecym, przez prąd tego czasu urobionym. Geniuszem jest — na nic, kobietą — na nic, istotą — bez tchu biegnącą do celów, poza którymi tkwi pustka, człowiekiem, ginącym z głodu przy zastawionym fikcyjnemi potrawami stole, stworzeniem — śmiertelnie znużonem, a bojącem się śmierci. Umiera wreszcie, ponieważ instynkt samozachowawczy na chwilę w niej zamilkł, i ludzie czczą ją nekrologami, by zapomnieć o niej dla najbliższej nowości. Lecz poza tem wszystkiem jest jeszcze inna postać, o n a s a m a, umarła, która wiecznie żyć będzie: siła żywotna, taka gorąca, wulkaniczna, jak rozżarzone wnętrze ziemi, kobiéta w każdym calu i więcej niż kobieta. Mózg, który oderwał się od płci, myślał samodzielnie i wchłonięty był znowu przez płeć, by jej uledz; dusza, pełna mistycyzmu, wiedziona nieraz przez ducha czasu na manowce, lecz widząca w chwilach ekstazy wieczne oblicze wszechrzeczy. Królewski duch kobiecy, który karmił setki żebraków, rozdawał się wszystkim, a nie objawił się nikomu.

„Gdy podawała rękę — mówiła mi Ellen Key — zdawało się, że sfrunął w dłoń mały ptaszek o drżących skrzydełkach i bijącem głośno serduszku“. Zaś Hilma Strandberg, autorka, która podówczas znakomicie karyerę rozpoczęła i którą poźniej losy odegnały daleko od pierwszych początków, tak mówi o pierwszem swojem z Kowalewską spotkaniu: „Zdawało mi się, że „przejrzała“ mnie wzrokiem na wylot, jak nikt dotychczas; potem zaś doznałam uczucia takiego, jak gdyby powoli, stopniowo istota moja, z jej woli, rozpływałą się w nicość...“ Było to uczucie fizyczne, które spotęgowało się tak gwałtownie, że prawie zemdlała i z trudem zdołała wrócić do domu.

Dwa te rysy zdradzają, co w osobie Kowalewskiej najsilniejsze wywierało wrażenie: oczy i ręce. O tym jej przenikającym ludzi nawskroś wzroku dużo przechowało się anekdot; o rękach jej wspominają tylko Ellen Key i pani Leffler, która wzmiankuje, iż ręce Zofii wcześnie zeszpecone były przez żyły. Uwagi te wystarczają dla dopełnienia tego wrażenia, jakie uczyniły na mnie ręce jej na portrecie, są to małe rączki dziecięce, o cienkich, nierównych, trwożliwie i nerwowo zaciśniętych paluszkach; jedną rączką tak kurczowo, z tak widocznem naprężeniem obejmuje obojętną książkę, że patrząc na to, czuje się boleść i żal.

Ręce częstokroć lepszym bywają materyałem psychologicznym, aniżeli twarz. Twarz można opanować, rąk opanować niepodobna. Są ludzie o delikatnych, mądrych, uduchowionych obliczach, którym kłam zadają ręce grube, mięsiste, gładziutkie, o grubych, tępych palcach. I są twarze okrągłe, ciepłe, zmysłowe o pełnych, nieraz wprost grubych wargach, twarze, którym jednak tak boleśnie kłam zadają blade, żylaste, chore ręce. Twarz Zofii opanowana była przez przenikliwy wyraz jej oczu, przez intenzywne zaciekawianie się każdem zjawiskiem, przez wszystko, co na zewnątrz jej leżało. Ale słabe, naprężone, nerwowo drżące jej rączki opowiadały o cierpieniach bezradnego dziecka, któremu nigdy nie sądzonem było stać się kobietą.

K O N I E C.

Dyssonanse.

Charakterystyczną cechą nowych czasów w porównaniu do wieków minionych jest odmienny stosunek jednostki do społeczeństwa. Dawniej społeczeństwo było małem kółkiem sąsiadów, współobywateli i przyjaciół, dziś — w obec rozwoju stosunków międzynarodowych — stał się człowiek obywatelem świata i z tego tytułu łączą go losy wspólnością dążeń najczęściej z ludźmi, których on nie zna, ani oni jego. Dawniej — jednostka wobec współrzędnych jednostek — dziś stanął on w obec potęgi bezimiennej, prądu społecznego, masy, tłumu, jednostki zbiorowej, która mu często swą wolę narzuca lub mu się poddaje, zawsze jednak żąda ukorzenia się przed swemi ideałami. A on nauczył się uważać ją za coś jednolitego, bo jednolitość dążeń i czynów ją znamionuje w każdym pojedyńczym przypadku. Gdy on jest słaby, mało indywidualny, jaźń zbiorowo wchłania go w siebie i tworzy z niego cząstkę swej siły, lecz gdy on, jak Dr. Stockmann z „Wroga ludu“ Ibsena, nie zechce hołdu złożyć jej bożkom, gdy powie sobie że najsilniejszym jest ten, co sam stoi, gdy człowiek znajdzie w sobie odwagę do zdeptania uznanych dogmatów społecznych, wtedy wywiązuje się walka tragiczna, w której ginie zazwyczaj jednostka pod brzemieniem „winy“.

Najcharakterystyczniejsza cecha współczesnego kierunku ducha — pesymizm — opanowuje moralne strony współczesnego bohatera. O ile sceptykiem nie jest — jest pesymistą. Zmierzywszy się z jednostką zbiorową przyjść musi do poczucia zależności swej, swej znikomości w obec przemagającego prądu, w obec porządku społecznego, który jednostkę zepchnął na plan dalszy, który jej wolę ujarzmił świadomością niewoli, a czyn ujął w żelazne pęta konieczności.

Dziś jednostka znaczy daleko mniej niż dawniej, bo nie stoi w obec szczupłej garstki swego najbliższego otoczenia, lecz przed obliczem całej ludzkości, — tego olbrzyma, co ofiar wymaga i ofiary bierze w imię postępu, w imię cywilizacyi: symbolem jej jest tryumfalny pochód kapłanów Brahmy, którzy stąpając depcą po ciałach wybrańców.

Dziś czuje się jednostka porwaną przez prąd społeczny pomimo protestów i oporu, jak przez orkan porwany jest drobny pyłek w szalony wir masy; to znów jest ona jakby przykutą do miejsca, przez które zsunąć się ma tocząca się z góry lawina, miażdżąc i porywając ze sobą wszystko; — to znów społeczne jej uwarunkowanie jest dla niej murem, który jej drogę zastąpił, a głową go przebić nie można...

Ustrój społeczny prowadzi dziś człowieka często w położenie bez wyjścia, zamyka go w matni bez winy i nieubłaganą prawicą kreśli mu w losach wyrok pełen tragicznej grozy, w bezbronną jego głowę ciska pioruny i każe mu cierpieć lub ginąć za winy, których nie popełnił. Cóż dziwnego, że odzywa się w nim głuchy protest i dyssonansem brzmi w silniejszym porządku społecznym, cóż dziwnego, że chce odezwać się, chce być panem swych losów, chce rządzić się swem prawem i swą moralnością.

Dyssonans pomiędzy bohaterem a biegiem wypadków zawsze był źródłem tragiczności; lecz choć bohater dzisiejszy, zarówno jak bohater starożytny, ginąć ma bez winy, Ananke starożytna inną dziś przybiera postać: dziś jest ona istniejącym porządkiem społecznym, jest przyjętym przez świat kodeksem moralnym, jest sumą praw zwyczajowych, lub jest koniecznością ekonomiczną! — a mniejsza z tem, jak ją nazwiemy, zawsze stanowi dyssonans z dążeniami bohatera, zawsze ujmuje go w swe kleszcze i każe mu cierpieć — za swą indywidualność. Indywidualność jest zawsze największą zbrodnią w obec życia społecznego, bo ona jest źródłem dyssonansu. Epoka, jak nasza, co nowem łożyskiem pchnąć ma bieg życia w tylu rozmaitych dziedzinach, wydawać musi dużo takich dyssonansów. Bohaterowie jej też tragicznie kończyć muszą, bo godłem ich jest dyssonans.

Ich wina jest zagadką. Jeśli winą jest niezdradzanie swych przekonań, niesolidaryzowanie się z najsilniejszym prądem, obrona swej indywidualności, choćby kosztem najdotkliwszego rozdźwięku z całym światem — to są winni. — Oprócz „Tkaczy“ Hauptmanna jest „Nieboska komedya“ dziełem o równie szerokim zakroju, gdzie bohaterowie występują na tle olbrzymich prądów społecznych, a towarzyszy im jawnie ich Ananke.

Gdzie wina hr. Henryka? — wina to jego ojców, to coś problematycznego, co mu się udzieliło, przechodząc drogami nieznanemi dla krótkowidzącej sprawiedliwości jednostek.

Lecz nietylko pokolenie za pokolenie pokutuje, nietylko dla tego synowie są winni, że ojcowie zawinili, lecz całe warstwy społeczne stają się winnemi, jeśli to leży w interesie ogółu, jeśli stanowić to ma o utrzymaniu równowagi społecznej.

Jest dyssonans straszny między sprawiedliwością społeczną i poczuciem sprawiedliwości u jednostki, a jako ofiara tego dyssonansu jęczą narody całe, warstwy społeczne i jednostki. Sprawiedliwość społeczna nie jest dla nich nigdy Bogiem łaskawym, tylko gromowładnym Jehową. Komedya życia każe być im winnymi, więc są — ale nie zawinili, jako żywo.

B e r l i n. *Kazimierz Rakowski.*

Z estrady i sceny.

(Sprawa kobiet. Komedya w 4 aktach p. M. Bałuckiego.. — Nowe siły w „Niobie“.)

Powiedział niedawno jeden z recenzentów krakowskich, ze publiczność już śmiać się przestała na komedyach Bałuckiego. Zdaje mi się, że nieco za rychło śmiech ten pochowano. Nie mówię o niedzielnej publiczności naszej, bo ta śmieje się zawsze, bez względu na to, czy Papkin pisze testament, czy Lear Szekspirowski przeklina córki wyrodne, — lecz mówię tu o sobotniej premierze, witanej salwami śmiechu przez widzów licznie zebranych. Humor Bałuckiego omdlał nieco w ostatnich latach, lecz jakby podrażniony proroctwami zgonu bliz-

kiego, głoszonemi przez usta krytyki, ożywił się nagle i zaludnił scenę rojem wesołych sytuacyi i typów. Niech jednak nikt nie sądzi, że autor „Flirtu“ odmłodniał. Jest to nasz dawny Bałucki, tylko nieco odświeżony: Stare typy, stara technika, stare efekty i stara psychologia, rozkochana w najprostszych mechanizmach dusz ludzkich i gardząca subtelnym kolorytem uczuć. Nową jest chyba karykatura emancypantki, — nową u Bałuckiego, bo na zagonach swojskiej i cudzej literatury spotykaliśmy już niejednokrotnie tę płaską satyrę. Poważny tytuł najnowszej komedyi Bałuckiego osłania farsowe sytuacye i farsowe typy, a w obec tego nasunąć się musi pytanie, czy istotnie emancypacya kobiet na polskiej ziemi tak groźne przybrała rozmiary i w tak niedorzecznych przejawia się formach, że już potrzeba trywialnego śmiechu, grymasów żółciowych i karykatury, by powstrzymać cudactwa nowego ruchu i biczem ironii prostować skrzywienia dążeń kobiecych. Niewątpliwie wykazują dzieje emancypacyi na swojskim gruncie pewne wybujałości śmieszne, właściwe wszystkim ideom-noworodkom, niewątpliwie mogłaby Warszawa wymienić pewne nazwiska feministek, dyskredytujących sprawę emancypacyi pretensyonalną przesadą, fałszywem doktrynerstwem i tem niedorzecznem apostolstwem, głoszącem walkę spódnic z surdutami na śmierć i na życie, — lecz są to bądź co bądź nader rzadkie wyjątki, które zdrowego ruchu naszej emancypacyi kobiecej spaczyć nie są w stanie. Ktoby z sztuki p. Bałuckiego chciał sądzić o „S p r a w i e k o b i e t“, ten zaiste byłby podobny temu, kto jarmacznego krzykacza patryotyzmu typem patryoty mianuje, lub monstrualne dziecko o dwóch nosach i czterech oczach za wzór gatunku „homo“ uważa. Nasza „Sprawa kobiet“ ma dotychczas zupełnie inne oblicze, i ten ogólnikowy tytuł najświeższej komedyi Bałuckiego jest fałszem krzywdzącym zdrowy ruch emancypacyjny. Niechby autor, jeżeli taka wola jego, czerpał swoje typy z nielicznych klubów feministek, ale niech w takim razie, zamiast „Sprawy kobiet“, w etykiecie jego komedyi figuruje: „Dziwoląg w spódnicy“. Wtedy do śmiechu naszego nie zakradnie się przykre uczucie niezasłużonego policzka, któremu myśląca publiczność na sobotniej premierze chwilami oprzeć się nie mogła.

A mimo to rozbrzmiewał teatr wesołością. To już zasługa autora-artysty, któremu szeregiem scen dobrze pomyślanych i szczerym humorem okraszonych udało się w części przynajmniej uśpić nieprzyjemne refleksye. Nie są to francuskie, za wachlarzem ukrywane uśmiechy i uśmieszki, któremi darzy nas autor krakowski, lecz znowu ta jędrna, szeroka, rodzima wesołość, bijąca ku nam z „Grubych ryb“ i „Domu otwartego“. Wydelikacony smakosz literacki nie znajdzie w tym szorstkim, trywialnym często humorze ulubionych narkotyków, lecz po oranżeryjnych zapachach nadsekwańskiej komedyi dobrze jest czasem odetchnąć tą atmosferą swojską, poczciwą, naszą. I dla tego, mimo całej jednostajności i grubej tkaniny, właściwej komedyom Bałuckiego, lubię od czasu do czasu poddawać się działaniom jego humoru, lubię tem więcej, że te typy z pod szlacheckiej strzechy, któremi w komedyach swoich bawi nas i rozrzewnia, nikną mi z przed oczu. Wiem dobrze, że wszystkie jego słodkie podlotki, poczciwe chłopcy, stare matrony, rubaszni krzykacze, zgryźliwe panny, wszystkie te złota serca, szerokie usta, płytkie mózgownice, fałszywe cnoty, i wydęta zera, jednem słowem cała galerya typów wiejskich i małomieszczańskich powraca stale w każdej komedyi jedna i ta sama, z drobną zaledwie zmianą fizyognomii, — lecz każda z postaci Bałuckiego ma dużo rodzimej, lubo karykaturalnej prawdy, a niejedna z nich ginie bezpopotomnie. Chciałoby się nieraz czas w biegu zatrzymać, — „V e r w e i l e d o c h, d u b i s t s o s c h o n“ — i dla tego wybacza się Bałuckiemu chętnie pewne ubóstwo fantazyi i brak analizy, — i dla tego słucha się z upodobaniem tych gasnących dźwięków.

Oceniając ze stanowiska artystycznego najnowszy utwor krakowskiego autora, trudno pominąć milczeniem uczuciową stronę jego komedyi — to tchnienie serdecznego ciepła, które rotaczać umie na scenie. Recepta na ogrzewanie sztuki nie istnieje żadna. To tajemnica talentu, której w formułce wyrazić nie można, trzeba się z nią urodzić i w krwi ją posiadać. Scena tak często bywa prawdziwem, lecz zimnem odbiciem rzeczywistości, — Bałucki umie życiu wykradać rumieńce i niemi świat deseк ożywiać. Ta zdolność tworzenia atmosfery właściwej jest, obok zręcznego dyalogu i humoru sytuacyi, wybitną zaletą „Sprawy kobiet“, i gdyby nie pewna ospałość akcyi w dwóch pierwszych odsłonach, gdyby nie pospolitość niektórych konceptów obliczonych na gusta galeryi, gdyby wreszcie nie przyklejone sceny ze śpiewem i tańcem, snać napisane z tendencyą zaostrzenia apetytu teatrzyków ogródkowych w Warszawie, — to w dziedzinie twórczości Bałuckiego najnowsza sztuka niepoślednie zajęłaby miejsce.

Wykonaniu sobotniej premiery tak pod względem zewnętrznej wystawy jak reżyseryi i interpretacyi należy się poklask gorący. Nowa naiwna sceny poznańskiej, p. B i e r n a c k a, posiada może głos niezupełnie dźwięczny, lecz nutą rzewnego liryzmu, serdecznej prostoty i wiosennej świeżości porywała publiczność. Za często tylko artystka mówi do lóż i krzeseł, za często uczuć nam daje, że świadomą jest lornetek wymierzonych na scenę, co niewątpliwie przekupuje widzów przeciętnych, lecz gasi nieraz złudzenie prawdy. Panna Biernacka nie ma potrzeby kokietować publiczności, bo i bez kokieteryi podbije ją talentem swoim.

Po raz pierwszy też wystąpiła na poznańskiej scenie panna T a ń s k a, dawniejsza bohaterka sceny Stanisławowskiej. Gra jej dyskretna i opiłowana zdradza dobrą szkołę, — zdaje się jednak, że talent to nieco zimny, roztapiający się z trudem w ton miękki, uczuciowy. I dla tego przebudzenie serca w poważnej sawantce miało kilka akcentów nieszczerych. Lubię tę metodę realistyczną, właściwą grze p. Tańskiej, pragnąłbym tylko więcej krwi i temperamentu, mianowicie w komedyach Bałuckiego. Pani K r ó l i k o w s k a, w roli śmiesznej emancypantki rozwinęła wiele charakterystycznego talentu i prowadziła typ swój stylowo od początku do końca sztuki. Gdzieniegdzie tylko czuć było suflera. Gra panny J u t k i e w i c z wreszcie, której dyrekcya powierzyła sympatyczną rolę Wisia, zdradza dużo rutyny i wdzięku. Mianowicie mimika przy końcu aktu drugiego świadczyła o finezyi artystki.

Z ról męskich zasługują w pierwszym rzędzie na wyszczególnienie pp. O l s z e w s k i, K n a p c z y ń s k i i K a r p o w i c z. Humor pierwszego był nieco suchy, ale charakterystyka postaci przemądrzałego ekonoma Swarka, ujęta w karby artystycznej miary, odznaczała się starannem wykończeniem i konsekwencyą. Pan K n a p c z y ń s k i, pomijając wadliwą chwilami dykcyą, porywał jak zwykle temperamentem, swobodą i doskonałą mimiką, a nowo zaangażowany artysta p. K a r p o w i c z celował sympatyczną prostotą. Pan T a r a s i e w i c z, w roli roztopionego spojrzeniem Zosi sensata, nie umiał dostroić się do atmosfery Bałuckiego. Zdaje się, że talent ten odsłoni wartość swoją dopiero w poważnych dramatycznych rolach. Z reszty artystów wywiązali się z ról swoich poprawnie p. p. J a k u b o w s k i i C z e r n i a k, doskonały, lubo nieco rozkochany w karykaturze, przedstawiciel ról chłopskich. Pan R a c z e w s k i natomiast w roli szlachcica Jacka zanadto markował ekonoma i ujaskrawił niepotrzebnie koloryt Bałuckiego.

* * *

W ubiegły wtorek wznowiono na scenie naszej „Dzienniczek Justysi“ i wesołą krotochwilę Paultona „Niobe“. W sympatycznym utworze Kościelskiego celował R y g e r niezrównanym artyzmem, a w angielskiej farsie zaprezentowała się korzystnie w charakterystycznej roli „starej kocicy“ panna M o d r z e w s k a, oraz tytułowa bohaterka p. A u d r a n. Niobe wtorkowa miała klasyczne kształty, koturnowe ruchy i koturnową deklamacyę z drobną przymieszką sztucznej, lecz przez autora pożądanej afektacyi. Kontrast klasycyzmu rzuconego na tło nowej cywilizacyi wystąpił w barwach soczystych i liniach stylowych, — ze względu jednak na oryginalną odrębność swoją, rola Nioby o właściwych zdolnościach p. A u d r a n nie pozwala wydać stanowczego sądu. Pan B e r s k i objawił również w dobrze wycieniowanej roli pociesznego kochanka Nioby, że od chwili, gdy scenę poznańską opuścił, pielęgnował starannie swój talent.

Z nowych artystów wymienić jeszcze wypada p. P r o c h a s k ę i p. S t r ó ż e w s k i e g o. Pierwszy odtworzył epidemiczną rolę swoją bez zarzutu, drugi natomiast budził niesmak mimiką i dykcyą pretensyonalną. W grze p. S r ó ż e w s k i e g o czuć bezustannie, że chce się ruszać, chce „grać.“ Swoboda jego to sztuczne rzucanie się po scenie — nic więcej.

Władysław Rabski.

TO I OWO.

Masoni.

Zwracaliśmy już kilkakrotnie uwagę, jak niedorzeczne są ulubione w czasopismach poznańskich baśnie o potężnych wpływach stowarzyszenia Masonów na stosunki polityczne i umysłowy rozwój Europy. Konserwatywne dzienniki nasze rzucają tym „strasznym“ wyrazem przy każdej sposobności. Ilekroć kościelna polityka dozna niepowodzenia, ilekroć pojawi się książka o liberalnych tendencyach, ilekroć ruch rewolucyjny szarpnie nerwami Europy, ba! ilekroć wstąpią na gruncie naszym ludzie niezupełnie rozkochani w ideałach „ładu i porządku“, zawsze spycha się całą winę na jakichś „Masonów“, którzy rzekomo gdzieś w ukryciu knują zamachy swoje na spokój społeczeństw i powagę kościoła, a tak są niebezpieczni, że walka z nimi jest najpoważniejszym postulatem chwili obecnej. Świeżo odbyty kongres trydencki znowu dał wyraz tej dziwacznej trwodze przed urojoną potęgą. W odczytach tam wygłoszonych i w obradach publicznych dźwięczało bezustannie słowo „Mason“, jak echo trąby ostatecznej, i ludzie drżeli przed czemś, co jak szatański czarnoksiężnik nieobliczonym swym wpływem na manowce, nad przepaść wiedzie Europę. W obec tych głosów wystąpił „Dziennik krakowski“ z dłuższym artykułem, kórego kilka ustępów przytaczamy poniżej, lubo nie na wszystkie szczegóły tam zawarte zgodzić się możemy:

„Czy są doprawdy — mówi wyżej wspomniane pismo — ludzie tak naiwni, by przewrót, jaki w ostatnich wiekach zupełnie umysł ludzki przekształcił, mogli przypisać wolnomularzom? Czy Kopernik, Monteskiusz, Wolter, Rousseau, Laplace, czy Kant, Marks, Darwin, wszystkie te potęgi, na których łonie duchowem wychowały się młodsze poko-

lenia ludzkości, należą do wolnomularstwa? Czy nowoczesne państwo, które utrzymuje szkoły przesiąknięte ich duchem, istotnie pozostaje pod wpływem garstki marzycieli lub komedyantów, uprawiawiających wśród zamkniętych murów misterye śmiechu godne?

....Wolnomularstwo brzmi dziś dla nas, ludzi nowoczesnych, jak dźwięk dawno przebrzmiały, przypomina alchemików, templaryuszy, illuminatów, ma na sobie w najlepszym razie płaszcz zblakłego romantyzmu, pod którym się kryje donkiszoterya idei. W najlepszym razie, bo jakżeż często okrywa ten płaszcz dusze nędzne i nikczemne! Podług statutów swoich ma masonerya dwa cele: zewnętrzny i wewnętrzny. Pierwszy polega na czynach filantropijnych, na niesieniu pomocy „braciom" i bliźnim, na szerzeniu oświaty i pojęć humanitarnych; drugi obejmuje pracę cichą, duchową, doskonalenie się serca, pogłębianie idei filozoficznych. Tyle — w statutach. Może były one życiem za czasów pierwszej młodości, u pewnych idealistów. Teraz, jak można im przypisać jakiekolwiek znaczenie wolnomyślne, skoro się widzi na czele ich lóż takie osobistości, jak cesarza Wilhelma I i innych Hohenzollernów, jak księcia Walii i jemu podobnych? Jak można im przypisać chęć burzenia, skoro w klasycznym swym kraju, we Włoszech, mają na czele takich zbrodniczych pachołków reakcyi, jak Crispi? Dawno już pozbyli się wszelkiego balastu idealistycznego i utonęli w kałużach crispiańskich... W cieniach przeszłości ich miejsce, w składzie zabawek i dziecinnych misteryi, lub galeryi komedyantów ludzkości — klerykali powołują ich jednak napowrót do życia, przywracają im część popularności.

Ten tylko, a nie inny rezultat przyniesie kongres. Cóż zajmowało najwięcej uczestników? Sprawa miss Vaughan. Mianowicie nakładem eucharystycznego pisma „Pelikan" w Feldkirch wyszła niedawno książka p. t. „Tajemnica piekła, czyli miss Diana Vaughan, wydana przez dra Michała Germanusa". Zawiera ona „odkrycia" uczynione rzekomo przez sławetnego wolnomularza Maigrotte, a odnoszące się przeważnie do jego stosunków z... dyabłami. Tak jest, odprawiali razem nabożeństwa, do czego potrzebują kradzionych hostyi, a zażyłość dochodziła do tego stopnia, iż dyabeł Vitru d. 18 paźdz. 1883 zjawił się w pewnej loży rzymskiej, gdzie wobec Criskiego, Lemmiego i innych obwieścił, że jedna z obecnych, Zofia Walder, ma pojechać do Jerozolimy, gdzie dnia 29 września 1896 zostanie babką antychrysta. Zajście tej loży jest w owej książce illustrowane „fascimilowanym podpisem dyabła", który nosił tytuł: *Sanctus Daemon Primarius Praeses*...

I uwierzyć, że żyjemy z końcem XIX wieku, gdy czytamy takie książki!? I słuchać spokojnie, gdy i w nasze społeczeństwo ktoś ciemne wnoszą takie nauki, przetłomaczywszy owe dzieło „miss Vaughan", która zapewne nigdy nie istniała", na język polski aż w dwóch pismach warszawskich?!!"

NA WYŁOMIE.

Jak powstała myśl uniwersytetu ludowego w zaborze pruskim? — Doniosłość projektu. — Brak ludzi i jego przyczyny. — Malgré tout.

Pod firmą „uniwersyteckiej drużyny ludowej" ogłosiły pisma codzienne przed niedawnym czasem projekt stworzenia u nas instytucyi, wzorowanej na amerykańskiej i angielskiej „*university extension*", której „Przegląd poznański" poświęcił przed miesiącem kilka szczegółowych artykułów. Projekt ocenny jest własnością p. Joachima Sołtysa z Kluczborka, — myśl pierwszą jednak rzucił przed rokiem p. Walery Łebiński na posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego Tow. Przyj. Nauk. Wonczas rozkochana w cmentarzach akademia nasza uznała myśl samą za dobrą, lecz oświadczyła stanowczo, że z królestwa mumii nie wychyli głowy i na rynki życia nie poniesie pracy. Wnioskodawca umilkł. Milczały dzienniki, a śp. Franciszek Dobrowolski oświadczył ironicznie, że „autor projektu marzy o pomniku za życia." Jeden tylko „Przegląd poznański" szepnął tam coś niby słowo żalu a niby krytyki o zmumifikowanych instytucyach naukowych i wrodzonej starym powagom odrazie do młodych działaczy publicznych, a potem nie straciwszy nadziei, że kropla za kroplą i nasze kamienie wydrąży, postarał się o szeroki obraz amerykańskich uniwersytetów ludowych i obraz ten poniósł w szeregi inteligencyi naszej. Z rzuconego ziarna kłos strzelił niebawem. Pan Joachim Sołtys naszkicował statuty dla nowej organizacyi oświaty i zagrał gromką pobudkę, wołającą do szeregu prelegentów ludowych. Powstać ma w ziemiach naszych drużyna inteligentnych miłośników ludu, którzy pójdą od miasta do miasta i z jednej wioski do drugiej, by rozjaśniać mroki, zalegające niziny społeczne. Kto uważnie odczytał artykuły pani Kodisowej, ogłoszone w łamach pisma naszego, ten chyba zrozumie doniosłość tego zamiaru i oceni należycie wpływy, jakie uniwersytet ludowy w naszych warunkach wywierać musi na masy ciemne lub w półmrocznym zmierzchu wegetujące. Wszystko, co mówią o niezwykłej oświacie ludu naszego, wszystko, co niedawno jeszcze rozbrzmiewało dźwiękami dumy w „Kraju" petersburskim, mieści wiele, bardzo wiele przesady, i byłoby szaleństwem spocząć nieruchomie na laurach wątpliwych, pieszcząc się fikcyjną potęgą światła, królującą rzekomo w nizinach naszych. Idźcie na zachód, starajcie się zgłębić tam kulturę wydziedziczonych, a wtedy myśl smutna pobiegnie do rodzinnej ziemi i skarżyć się będzie, że w pochodzie ludów nam rola ciurów została.

Oczywiście przesyłając moje „Szczęść Boże" uniwersyteckiej drużynie ludowej, nie robię sobie najmniejszych iluzyi, że jednem „Stań się!" stworzymy organizacyę wielką, żywcem z amerykańskiej ziemi na polski zagon przeniesioną. Wiem, że na razie ani o osadach uniwersyteckich, ani o klubach towarzyskich wśród ludu, ani o „gildach sąsiadów", o systemie Chantauqua, o wędrownych muzeach, o „sommer-schools" mowy być nie może, — wiem, że na razie cała akcya ograniczyć się musi do zorganizowania drużyny prelegentów, która na każde zawołanie stanie do apelu a nawet niewołana starać się będzie o to, aby ją wołano. Ciągłość pracy nad kulturą serc i umysłów, opierająca się u nas przeważnie na jednej klasie, musi znaleźć dobitny wyraz w przekonaniu, że wychowanie ludu na szkole ludowej kończyć się nie powinno, że społeczeństwo ma obowiązek utrwalenia i rozwijania tych zdobyczy umysłowych, któremi wychowańców swoich darzy szkoła ludowa. My kształcimy się ciągle w tej lub owej formie, — zasadę tej ciągłości zastosować należy i do najmłodszych braci. Wprawdzie drużyna prelegentów to tylko prymitywny zaczątek tego ruchu, który tak wspaniałe owoce wydał w Ameryce i Anglii, wprawdzie drużyna taka wyrzec się na razie musi potężnych wpływów towarzyskiego obcowania z ludem, które w uniwersyteckich osadach nowego świata jest pierwszą zasadą rozwoju, bo wyżej dusze podnosi od zimnego słowa katedry, — lecz połóżmy przedewszystkiem fundamenty, zainteresujmy lud, nauczmy go pożądać światła, a jutro stanie gmach wielki.

Dziś prelegentów nam trzeba. Czy znajdą się u nas? Z pewnem uczuciem strachu kreślę to pytanie, bo jedną z największych klęsk naszego życia jest brak ludzi zdolnych i chętnych do publicznej pracy. Zkąd do nas przyszedł ten pomór, na to jednem słowem odpowiedzieć trudno. Złożyły się na to warunki polityczne, zabierające nam całe legiony ludzi młodych, gorących i światłych — odegrały tu rolę wybitną ćwierćwiekowe rządy śp. Franciszka Dobrowolskiego, odsuwające od pracy każdy silniejszy idywidualizm, nie chcący chodzić na pasku prowincyonalnego możnowładcy, — zaliczyć tu wypada wreszcie wyczerpanie finansowe całego kraju, nakładające coraz cięższe obowiązki pracy dla chleba, zamknięcia w warsztacie i domowem ognisku, ograniczenia działań humanitarnych lub narodowych, wymagających wiele czasu, zaparcia i pieniędzy. A potem wypadałoby znowu powtórzyć moją smutną skargę na gasnące zapały, skurczone serca i oschły utylitaryzm nowych pokoleń. Dawniej coś się przecież miłowało, czegoś pragnęło, coś poświęcało, — może głupio, może bez rozwagi, — ale gorąco, ale z wiarą, ale z przekonaniem, że życie dla ogółu, to nie łaska, którą się świadczy, lecz obowiązek. A dziś? Spojrzmy w około, spojrzmy na młodzież: Fabrykanci, kupcy, literaci, adwokaci, lekarze, — lecz materyału na ludzi publicznych, na tych, co kochają „nie połową ale całą duszą", tam mało.

Więc mnie trwoga przejmuje o losy naszej uniwersyteckiej drużyny ludowej, więc lękam się, że ta pobudka szląska, wołająca do szeregu prelegentów, pozostanie bez silnego echa w społeczeństwie poznańskiem. A przecież depczę tę trwogę, co mi duszę oplata, jak bluszcz wyrastający na ruinach tylu ukochanych zamiarów i dążeń, — depczę ją i witam nowy projekt z całym zapałem skwaszonej może nieco, ale niewygasłej jeszcze młodości. Do szeregu! kto gotów podać nam rękę, kto gotów zapisać swe imię wśród pionierów nowej idei, kto z słowem oświaty w lud polski iść pragnie lub złożyć daninę dla wspólnego celu, — niech da znak życia w redakcyi pisma naszego. My pośrednictwem służymy i pracy nie poskąpimy, by dźwięk nie pozostał dźwiękiem, lecz w czyn narodowy się zmienił.

Sulla.

OD REDAKCYI.

Przy zmianie administracyi i ekspedycyi pisma naszego z dniem 1go października rb. były nieuniknione pewne nieregularności w roznoszeniu i wysyłaniu pisma.

Z kilku stron doszły nas zażalenia, że pierwszy numer z bieżącego kwartału albo późno doszedł albo wcale nie doszedł Szanownych Abonentów. Będziemy się starali dopilnować, aby abonenci miejscowi i zamiejscowi otrzymywali nadal każdy egzemplarz pisma naszego na czas. W razie jakichkolwiek nieregularności prosimy nas o tem zawiadomić, a zalegające egzemplarze odwrotną poczta prześlemy.

Osoby, które z powodów wyjątkowych pragną abonować „Przegląd Pozn." za zniżoną cenę, zechcą się udać wprost do administracyi pisma naszego na ul. Podgórną nr. 7.

OD ADMINISTRACYI.

Zarząd wydawnictwa „Przeglądu Poznańskiego" upoważnił nas do zniżenia przedpłaty kwartalnej w razach wyjątkowych. Osoby, które życzą sobie abonować „Przegląd Pozn." po zniżonej cenie, zechcą się zgłosić do niżej podpisanej administracyi.

Na przedmieścia m. Poznania: Jeżyce, św. Łazarz i Wildę, wysyłamy „Przegląd Pozn." za cenę taką, jak w mieście, na co zwracamy uwagę.

Administracya „Przeglądu Poznań." Podgórna ul. 7.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28